ROZMAITOŚCI.

Dnia 28. Maja. № 22. Roku 1856.

HRABIA SARJEDO.

(Z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 19. 20. 21. Rozmaitości.)

Po tych słowach postąpił naprzeciw kapitana, który zbliżał się do niego z nizkiemi ukłony, i z uśmiechem podał mu rękę.

— „Jesteśmy na otwartém morzu — wszak prawda, Senor?“

Kapitan potwierdził to.

— „I zapewne przychodzisz pan przypomnąć mi moje przyrzeczenie? Dobrze, proszę iść za mną!“

I dumnym krokiem szedł przodem do kajuty.

— „Zapewne wiesz o tém, kapitanie,“ — rzekł nieznajomy po chwili uroczystym głosem — „że Don Ludwik de Mendoza Furtado panuje jako wicekról w Indyi portugalskiéj?“

— „Tak jest; ale wiem także że czas jego rejencyi dawno już upłynął, i że z upragnieniem oczekują mianowania nowego wicekróla.“

— „A czy wiesz, kapitanie, do kogo zwracają się życzenia Indyan?“

— „Wiem, gdyż byłem w Goa, gdy zabiérano na okręt zwłoki dawnego namiestnika, hrabi Sarjedo. Całe miasto opłakiwało zgon tego rejenta, którego prawie ubóstwiano, i każdy wołał: „O, gdyby choć syn tego szlachetnego męża został naszym namiestnikiem i wicekrólem! Jest-to młody hrabia Sarjedo, którego pragną całe Indye portugalskie.“

— „I jego téż mianował Don Pedro wicekrólem!“ — rzekł nieznajomy uroczyście.

— „Ale czemuż niewysyłają go jak najprędzéj?“ — spytał kapitan. — „Czas rejencyi Don Ludwika de Mendoza Furtado dawno już upłynął. a w Goa i Damanie panuje wielki nieład i nikt niewykonywa ustaw, bo niéma władzcy, któryby wszystkiém zarządzał i kierował.“

— „Właśnie téż dlatego zalecił Don Pedro jak najprędzéj odjazd nowemu wicekrólowi, a że niebyło czasu na to, by stosownie do godności wicekróla wyprawić go z flotą i świetnym orszakiem, odjechał hrabia Sarjedo tajemnie, by najpierw uczynić zadość swym obowiązkom i wyrzekając się wszelkiéj wystawności świeckiéj, dogodzić życzeniu i potrzebie poddanych portugalskich. Z téj-to przyczyny, mój przyjacielu, stoi hrabia Sarjedo przed tobą w tak ubogim stro-

ju i stanie wcale nieodpowiednim swéj godności.“

— „Jakto, ty Senor, ty sam jesteś hrabia Sarjedo!“ — zawołał z uniesieniem kapitan klękając na jedno kolano i całując rękę, którą hrabia podał mu z powagą królewską. — „O mój Boże, jakiż to zaszczyt dla mnie i dla całéj Angli, że jéj okręt wiezie wicekróla Indyi!“

— „Ja téż przez cały czas rejencyi pozostanę najwierniejszym i najszczerszym przyjacielem Anglii.“

— „Jakąż radość sprawi to mym rodakom, gdy się dowiedzą o łaskawych zamiarach Waszéj Wysokości!“ — zawołał kapitan obliczając już w duchu korzyści, jakie sam mógł wyciągnąć z przywilejów Anglii w Indyach. — „Czy mogę objawić mym rodakom życzliwe chęci Waszéj Wysokości?“

— „Możesz, Signor! Od téj chwili niemam już żadnéj tajemnicy.“

I stanąwszy we drzwiach kajuty przywołał hrabia swych obudwu paziów. — „Ino i Antonio, moi wierni słudzy,“ — rzekł — „zdejmuję teraz pieczęć tajemnicy z ust waszych i rozwiązuję waszą przysięgę! Możecie odtąd wymieniać prawdziwe me nazwisko. Tajemnica skończyła się i cały świat może wiedzieć teraz, że jestem hrabia Sarjedo, nowy wicekról i namiestnik Indyi.“

Antonio padł na kolana by ucałować stopy hrabiego. Ino zaś nachylił się ku podanéj ręce hrabiego, ale gdy ją całował, padła gorąca łza na tę rękę, na którą hrabia odpowiedział serdecznym uściskiem.

Dnia tego panowała wielka radość i uciecha na okręcie. Hrabia kazał rozdawać wino i owoce między majtków, a kapitan oznajmił szumiącéj toni trzydziestu wystrzałami z dział, że król znajduje się na pokładzie okrętu.

Zaledwie okręt zawinął do Madras, rozeszła się wieść o przybyciu wicekróla portugalskiego z szybkością błyskawicy po całém mieście, i wszystko spieszyło na brzeg, by widziéć własnemi oczyma tę osobistość tak ważną dla całych Indyi. Gdy przeto hrabia Sarjedo wystąpił na ląd, powitały go tysiączne okrzyki radości, i wszystkie okręta zatknęły bandery honorowe.

Prawda, że hrabia przybył w ubogiém ubraniu, z małym pakunkiem i świtą składającą się z dwóch paziów tylko; ale wiedziano, że wyjechał *incognito* i wyrzekł się wszelkiéj okazałości dlatego tylko, by jak najprędzéj przybyć do Indyi. Krok ten stawiał w najlepszém świetle jego charakter i gorliwość w służbie, a oprócz tego nastręczał Anglikom korzyść, pozyskać dla siebie nowego wicekróla, nim dojedzie do granic Goy, i wyjednać u niego względy dla handlu angielskiego w Indyach portugalskich.

Próbowali tedy ująć hrabiego Sarjedo podarunkami, i z największą ich radością hrabia przyjmował je chętnie. Za przepyszne ich brylanty robił im świetne obietnice, za kosztowne, złotem napełnione wazy przyrzekał niezachwianą życzliwość, a gdy mu ofiarowali pożyczkę pół miliona liwrów, by mógł wystąpić z okazałością odpowiednią swemu stopniowi, przyjął tę ofiarę oświad-

czając się za tę grzeczność gotowym do wszelkich wzajemnych przysług. Angielska kompania handlowa nieposiadała się z radości, że hrabia przyjął jéj pół miliona, gdyż suma ta musiała jéj przynieść tysiąckrotne procenta, zapewniając na długie lata handlowi angielskiemu przewagę nad wszystkiemi innemi narodami.

Ale wicekról niepotrzebował wydawać swego złota, by urządzić sobie dwór wspaniały, gdyż Portugalowie, którzy mieszkali w okolicy Madras, spieszyli tłumem witać swego nowego gubernatora i usłużnością swoją jednać sobie jego gorliwość. Szlachta dostarczała mu dworzan i paziów, kupcy ofiarowali swe pieniądze i swój kredyt, słowem wszyscy ubiegali się o ten zaszczyt, by mu służyć, czy to osobą swoją czy złotem. Tak więc dobijali się Anglicy i Portugalczycy na wyścigi o względy nowego wicekróla, jedni przewyższali drugich w oznakach czci, w zapewnieniach miłości i podarunkach, a hrabia, by niezrobić nikomu przykrości, przyjmował wszystkie podarunki.

Był jednak zanadto dumny i zanadto pamiętał o swéj godności, by mógł przyjmować podarunki od Portugalczyków, swych poddanych, których chciał zhołdować swą wielkością i łaską monarchy. Wicekról mógł najwięcéj zaciągnąć pożyczkę u swych poddanych, ale niewypadało mu poniżać się aż do wdzięczności dla nich. Zmuszał przeto wzbraniających się Portugalczyków przyjmować obligacye na zaliczone sumy; ale z drugiéj strony, by wynagrodzić im tę przykrość, którą bardzo dotkliwie uczuwali, przyjmował z czarującą łaskawością dyamenty i rzadkie kosztowności, ofiarowane mu w podarunku, zapewniając ich przytém z uśmiechem pełném godności i wdzięku, że przyjmuje te dary nie dla ich kosztowności, lecz ze względu na dawców, i każdy mu chętnie wierzył; bo coż mogło hrabiemu Sarjedo, o którego niezmiernych bogactwach wiedziały całe Indye, co mogło zależyć mu na takich podarunkach, jeśliby niecenił miłości, która je ofiarowała?

Po czternastu dniach opuścił nowy wicekról Madras, ale nie tak niepokaźnie, jak przybył, lecz w towarzystwie świetnéj gwardyi przybocznéj i otoczon orszakiem licznéj, pozłocistéj służby. Postępował zwolna coraz daléj, a każdy dzień przynosił mu nowe tryumfy, nowe podarunki. Ze wszystkich francuzkich i holenderskich miast handlowych, które omijał, spieszyli zamożni mieszkańce okazywać mu cześć swoją i składać hołdy w bogatych darach. Wicekról przyjmował wszystkie te podarunki z królewską dobrocią, gdyż niechcąc sprawiać przykrości i zmartwienia tym poczciwym ludziom, niemógł odmówić ich przyjęcia. I nietylko Portugale, Anglicy i Holendry ubiegali się o jego względy, nawet bogaci kupcy indyjscy, Mahomedanie i bałwochwalcy, wszystko to kwapiło się, by ucałować stopy nowego władzcy i ogrzać się w promieniach jego łaski. Każdy rozpływał się w szczęściu i radości, jeśli hrabia przyjął jego podarunki, bo niezawodnie mógł kiedyś w jakiéj sprawie zaszkodzić mu lub pomódz, i dla-

tego radził sam rozsądek zapewnić sobie naprzód jego życzliwość. A wicekról miał tak czułe i szlachetne serce, jego samego tak to cieszyło, gdy mógł uszczęśliwić drugich; jakżeż niemiał przyjmować tych darów, które nie interesowność, lecz najszczersza miłość mu ofiarowała?

Tak zbliżał się powoli do stolicy portugalskiéj, gdzie go już z niecierpliwością oczekiwano i robiono świetne przygotowania na jego przyjęcie. Ale hrabia Sarjedo odwlekał swój przyjazd do Goy; chciał pierwéj poznać dokładnie stan całego kraju, przekonać się naocznie o wszystkich niedostatkach i zaletach jego, nim odbędzie swój wjazd do stolicy. Zresztą wstrzymywały go jeszcze od tego ważne powody polityczne. Wicekról niemógł mówić o tém jawnie i obszernie; tyle tylko oświadczył w sekrecie swym kawalerom i wysokiéj szlachcie portugalskiéj, że musi przedsięwziąć podróż do Surato, gdzie ma się zjechać z ministrami Wielkiego Moguła, i załatwić ważne lecz tajemne sprawy, które Don Pedro mu powierzył.

Tymczasem wysłał jednego z pierwszych swych kawalerów do Goy, by powitał w jego imieniu pana Sarjedo, naturalnego syna zmarłego hrabi Sarjedo. Dał mu nawet własnoręczne pismo do tego krewnego, nazywając go w niém swoim „bratem“, co tak mocno rozczuliło starca, że się rozpłakał i z radości i z żalu; z radości, że hrabia nazwał go swym najbliższym krewnym, a z żalu, że podagra przeszkadzała mu pospieszyć do nowego władzcy i zająć przynależne miejsce pomiędzy jego świtą. Musiał więc poprzestać na tém, że wysłał swego najstarszego syna z kosztownemi podarunkami do wicekróla, by okazać swemu bratu zarazem swą miłość i uszanowanie.

Coraz daléj odbywał się tryumfalny pochód hrabiego, i coraz bardziéj powiększały się jego bogactwa i skarby. Teraz zbliżał się do Damanu w pobliżu Goy stolicy Indyi portugalskich. Ale wicekrólowi sprzykrzyły się już te ciągłe hołdy i uwielbienia; zapragnął nieco ciszy, nieco wygody i spoczynku; smuciło go to, być zawsze władzcą tylko, na którego zwracają się wszystkich oczy, nigdy zaś wolnym, niestrzeżonym, spokojnym mężem. Chciał znowu raz zostać samym sobą, nie wicekrólem, lecz hrabią Sarjedo; zamiast uroczystego wjazdu do Damanu, chciał w wiejskiém zaciszu i odosobnieniu użyć kilka dni wczasu i spokojności.

Życzenia jego były rozkazem, i gubernator Damanu pokwapił się wyszukać dla wicekróla domek letni za miastem. Nieznaleziono żadnego, coby był dość piękny i wspaniały, prócz klasztoru OO. Jezuitów, który też jak najchętniéj go opróżnili, by mieć zaszczyt użyczyć go na kilkudniową rezydencyę wicekrólowi. Wypełniono więc życzenie hrabiego i urządzono mu pałac wiejski; ale niepodobna było powstrzymać natłoku ludności, pragnącéj powitać nowego władzcę, pomiędzy którą najbogatsi kupcy, najpiękniejsze kobiéty i najznakomitsi kawalerowie oczekiwali z upragnieniem téj chwili, w któréj mogliby hrabiemu Sarjedo złożyć najkosztowniejsze swe podarunki i najuniżeńsze hołdy.

(Dokończenie nastąpi.)

DWIE DROGI.
POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

(Dokończenie. Ob. Nr. 16. 17. 18. 19. 20. 21. Rozmaitości.)

VIII.

(Zachód słońca, w bliskości wioski widać krzyż na rozstaju. Matka niewidoma postępuje zwolna, wsparta na ramieniu Zosi, drogą wiodącą od wioski do krzyża.)

Matka.

Dalekaż jeszcze nam droga do krzyża.

Zosia.

Już blisko, matko!

Matka.

Wszak słońce się zniża?

Zosia.

Zajdzie za chwilę; już za las jodłowy
Złote promienie skryło do połowy.

Matka *(oddychając pełną piersią).*

Czuję rzeźwiącą woń wieczornéj rosy
Jakże przyroda czarownemi głosy
Mówi do człeka o Bogu, o niebie!

(zwracając się do Zosi)

Biedneż ty dziécię!... jak ja trudzę ciebie!

(coraz tkliwiéj)

Tyś mi ramieniem, tyś źrenicą oka,
Odtąd, jak wieczna zćmiła mi pomroka
Ten świat tak piękny, i błękit i zorzę!

Zosia *(stawiając matkę pod gruszą niedaleko krzyża).*

Czekaj tu matko, zaraz ci ułożę
Ze mchu miękkiego wygodne siedzenie.

Matka.

Dobrze aniele, o jakże ja cenię
Twoję troskliwość i serdeczne chęci!

Zosia.

Matko, ja także wiecznie mam w pamięci
Twe miłosierdzie dla biednéj sieroty.

Matka.

Ty mi przywodzisz młodości wiek złoty!
Twa matka niegdyś była mi tak miłą
Jak własna siostra: dziś, gdy pod mogiłą
Spi już na wieki, mogłażbym jéj dziécię,
Samą, sierotę, zostawić na świecie!?

(siada na posłaniu ułożoném na predce przez Zosię; po chwili)

Lecz mój Ludomir? czemu on nie wraca?

Zosia *(siadając u stóp matki).*

Pewno go ważna zatrzymuje praca.
Zobaczysz matko, przybędzie niedługo,
Nową zbogacon sławą i zasługą.
Kto wié, dziś może ujźrzymy go jeszcze!

Matka.

Dawno tą myślą serce tęskne pieszczę,
Ale daremno! Dzień za dniem ulata,
A Ludomira nie widać ze świata.
Tak mi na duszy tęskno i boleśnie!

Zosia.

Matko! wszak mamy jego wdzięczne pieśnie:
W nich nam przysyła część własnego ducha!
Jak słowo jego przypada do ucha,
Jak błogą w sercu obudza nadzieję!

Matka.

On złote ziarno dla przyszłości sieje,
Gdyby siew prawdy ludzie cenić chcieli!.

Zosia.

Jego się pieśnią radują anieli,
Czy to nie dosyć?

Matka.

Tak, dość dla poety,
Gdy pieśń mu własna dodaje podniety,
Gdy wiedzion prawdy wielowładną siłą
Ku czci jéj śpiewa: lecz komuż nie miło
Uczuć poczciwy uścisk bratniéj dłoni?
Sercu nie starczy liść bluszczu na skroni.

Zosia.

I któż miłością nie płaci poecie
Za szczere słowo?

Matka *(smutno).*

Niezawsze na świecie
W ślad za zasługą przychodzi nagroda;
Nieraz przeboli pierś poety młoda.

Siła zawodów, cierpień i goryczy,
Nim łzy zronione stróż anioł policzy.

Zosia.

Ale szczęśliwy, kiedy jego słowo
Brzmi w koło rosą niesione majową;
Kiedy milczące rozwesela sioła!
Gdy utulone pod skrzydły anioła
Serce porywa ku Bogu, wysoko!
Dalej niż sięgnie myśl nasza i oko,
Gdy nowy obszar dla ducha otwiera!

Matka.

Śpiewaj mi dziécię dumkę Ludomira:
Wszakże świat cały o wieczornéj zorzy
Dziękczynną pieśnią przed Panem się korzy.
Złącz głos twój czysty wraz z dźwięki cudnemi,
Co brzmią niebiosom podzwonne od ziemi.

Zosia.

O! chętnie matko, jam zawsze gotowa
Zanucić rzewne Ludomira słowa.

(śpiewa)

„Dziéweczko aniele, ty ścielesz w kwiat
Bezwarwne koleje żywota dróg;
By lodem nie zaskrzepł on piękny świat,
Jak rosę z błękitu zsyła cię Bóg.

Tyś tęczą promienną, co jasno lśni
W przestrzeni owianéj bladawą mgłą:
Co wróży uroczo na dalsze dni
Cudniejsze i czystsze żywota tło.

Ukochał cię anioł, téj ziemi stróż;
Czarowny ci powab jak tarczę dał;
Na licach tchnął krasę płomienną róż,
A ziarno ci prawdy do serca wsiał.

Niech ziarno to w złoty wybuja kłos,
Strzeż myśl twą od marzeń i sennych złud;
Wznoś w niebo z modlitwą błagalny głos,
Ogrzewaj twém tchnieniem serc ludzkich chłód.

Przez szatę a groźne tumany chmur,
Niech w górę ulata duch czysty twój;
Niech wiara mu doda łabędzich piór,
Niech skrzepia go święty nadziei zdrój.

Za słońcem, za prawdą, goń okiem wciąż,
Przyciągaj ich promień w domowy próg;
Ty z ziemią niebiosa miłością wiąż:
To święte zadanie wskazał ci Bóg!...

(Podczas gdy Zosia śpiewa, Ludomir ukazuje się w oddali po drugiéj stronie rzeczki w podróżném ubraniu. Przystawa na chwilę, opiera się o pień olchy, i słucha pieśni w milczeniu.)

Zosia *(spostrzegając Ludomira).*

Matko!

Matka.

Co tobie?

Zosia.

Nic, nic; to sen może!

Matka.

Czy nie Ludomir?

Zosia.

On matko!

Matka.

O! Boże!
Gdzież jesteś synu?

Zosia.

On jeszcze daleko,
Tam pod olszyną, przystanął za rzeką
Słuchając pieśni.

Matka.

Panie! dzięki Tobie!
Nim głowę złożę na spoczynek w grobie,
Pobłogosławię raz ostatni syna.

Zosia *(patrząc w stronę idącego Ludomira).*

Teraz go liśćmi przysłania olszyna:
Znowu go widzę, odkrył znojną głowę,
A wiatr rozwiewa jego włosy płowe.
Już dobiegł mostu, będzie tu za chwilę.

Matka *(wyciągając ręce do Zosi).*

Pomóż mi dziécię, bo o własnéj sile
Nie zdołam nawet klęknąć u stóp krzyża.

(Zosia pomaga powstać matce i prowadzi ją do krzyża, pod którym klękają obiedwie. Dzwon z kościelnéj wieżyczki bije na „Anioł Pański". Ludomir przystępuje zwolna, blady, wzruszony.)

Matka *(unosząc ręce do góry).*

Boże! Tyś wejźrzał na mnie!

Zosia *(oglądając się).*

Już się zbliża!

Matka.

Ukorzmy naprzód przed Panem kolana,
Z Jegoto łaski ta chwila nam dana!

(Modlą się obiedwie w milczeniu. — Ludomir nadchodzi, i klęka za niemi. Matka po krótkiéj modlitwie wyciągając ręce do syna:)

Witaj mi synu!

Ludomir.
Witaj matko droga!
(Rzuca się do nóg matki, ona przytula go do piersi.)

Matka.
Jak ty drżysz cały?!

Ludomir.
Niepojęta trwoga
Zdjęła me serce, gdym się ujźrzał blizko
Celu méj drogi!

Matka *(poważnie).*
Nie zgasło ognisko
Pod naszą strzechą z Przedwiecznego woli!
Jest i dostatek, i własny kęs roli,
Który za ojców plon wydawał złoty;
Jest dach, co głowę ochrania od słoty;
Jest stara grusza, gdzie białe bociany
Przynoszą promień doli pożądanéj.
Są serca ciche, cierpliwe i stałe:
Można tu wiankiem przewić życie całe,
Z pieśnią, z nadzieją, z miłością i wiarą!
Można tu zakląć czarami mgłę szarą,
Co się wokoło serc zmrożonych ściele;
Można tu z niebios wymodlić wesele!...

Ludomir *(patrząc na Zosię).*
Głos ten anielski wybłagać je zdoła....

Matka *(z uczuciem).*
Głos to i serce przeczyste anioła!
Ona wspierała moje błędne kroki,
Gdy Bóg rozesłał ten pomrok głęboki
Co mi całunem świat przyćmił grobowo!
Ona wtórzyła mi twéj pieśni słowo....

Ludomir.
Słyszałem matko, w olszynie za rzeką,
Jak wiatr roznosił doliną daleko
Srebrnego głosu nieskażone tony!

Matka.
Niech będzie synu dzień błogosławiony
Twego powrotu w święte ojców progi!
Już kres przebiegłeś onéj stroméj drogi,
Którąś za sławą gonił i znaczeniem.
Dziś osłoń głowę staréj lipy cieniem,
Za pług żelazny pochwyć ręką śmiało:
Orać twą skibę, dziś tobie przystało.
Masz ją użyzniać krwią, potém i łzami.
Nie szczędź ich synu! O! jest Pan nad nami,
On sam policzy twe rany i bole,
Bo życie nasze, synu! to nie pole,
Kędy falują wiecznie złote kłosy,
Z których nam wolno ciać bujne pokosy:
Życie, to rola skalista a sucha,
Którą masz ogrzać tchnieniem twego ducha;
Gdzie masz wytrzebić pniów spróchniałe szczęty
I złożyć posiew dla przyszłości święty.
Życie, o synu! to powszechna niwa,
Kędy plon prawdy pomału dojźrzewa;
Gdzie człowiek składa swéj zasługi ziarno.
Biada! kto przeszedł bezpłodnie i marno
Jałowym stepem, z kołyski do grobu,
A nie zbogacił bratniego zasobu!

Ludomir *(z zapałem).*

Jam rannemi, matko, laty
Zrywał barwne pieśni kwiaty;
Jam je z wiarą i w pokorze
Na dni ludzkich siał bezdroże,
I poszczęścił Pan méj chęci.
W bratnich sercach i pamięci
Pozostało słowo moje,
I wytrysły czyste zdroje
Z serc zaskrzepłych w lodu bryły,
Gdy je pieśni me stopiły.
Dziś mi nowa doba błyska,
Wracam z wiarą do ogniska,
Kędy ojców szorstkie dłonie
Pług wodziły po zagonie.
Tu pieśń moję w życie wplotę,
Może wyda plony złote!

Daléj z wiarą i nadzieją
Rzućmy w ziemię Boży siew;
Zanim pola zzielenieją,
Niech tęsknotę koi śpiew.

Wszak ta ziemia nieskażona,
W długiém pasmie zbiegłych lat
Wydawała szczodrze z łona,
W chwałę Panu, kłos i kwiat.

Ty z niebiosów jeno Panie!
Spuść nam łaskę, dodaj sił;
Żywot pieśnią nam się stanie,
Jak nią ojcom niegdyś był!

Matka.

Jak do pieśni w ranne lata,
Gdyś biegł śmiało w obszar świata,
Tak do pracy dziś i czynu,
Błogosławię tobie, synu!

(Ludomir klęka przed matką, która składa krzyż na jego czole.)

IX.

(Przy ostatnim blasku zachodzącego słońca, widać w oddali stary dworek ocieniony lipami. Pod drzewem, na kamieniu siedzi Ludomir. Ociemniała matka spoczywa w wygodném krześle pod ścianą dworka; przy niéj siedzi Zofia z robotą w ręku. Grono drobnych dziatek pląsa swobodnie po murawie. Na łące ponad rzeką krążą duchy starych lirników. Gwiazdy zapalają się po jednéj na niebie.)

Chór lirników.

Ponad cichym dworku progiem
Gwiazda złoty sieje blask;
Tam upływa żywot z Bogiem
Wzmocnion siłą wyższych łask.

Jakby wody dwóch strumieni
Zlane społem w jeden prąd,
Płynąc cicho po przestrzeni
Użyzniają brzeżny ląd;

Tak z żywotem pieśń spleciona,
A zaklęta w święty czyn,
Cudu mocą swą dokona,
Zmażę plamy bratnich win.

Bo ten tylko, kto podoła
Spoić życie z pieśnią wraz,
Kto pod tarczą piór anioła
Ustrzegł serce ciemnych skaz;

Ten dobędzie jedno z siebie
Cudotwórczéj pieśni ton,
I wyśpiewa wieść o niebie,
Bo je w sercu nosi on!

(Anioł przepływa w obłoku ponad wioską.)

Anioł.

Dwie świetne gwiazdy w niebios przestrzeni
Jam tu zapalił, téj ziemi stróż:
Jedna zalśniła blaskiem promieni,
I w mgle obłędu zagasła już!

Druga przyświeca jasno i czysto,
I tor niebieskich wskazuje dróg;
I cudnie złoci strzechę ojczystą,
Bo jéj promienie zażegnał Bóg!

Przy jéj odblasku widzę w oddali
Piewcę, pod cieniem odwiecznych drzew;
Płomień natchnienia oko mu pali,
A z piersi drżący wypływa śpiew.

Młoda małżonka sieje mu kwiatem
Pasmo żywota, pogodnych dni;
I w zgodzie z Bogiem, z sobą i z światem,
Śpiewak o doli aniołów śni.

Śpiewaj o piewco, ja twoje pienia
Wezmę na skrzydła ze śnieżnych piór;
Sam je poniosę w modre sklepienia,
Gdzie Cherubinów brzmi Panu chór.

I po téj ziemi dźwięk ich rozniosę
Jak gwiazd odblaski, jak kwiatów woń,
Jak w czas posuchy majową rosę
Z piór mych otrząsam, wśród ziemskich błoń.

A ty śpiewaku, coś padł w pogoni
Za złudnym wieńcem znikomych róż;
O! niech nad tobą choć łzę uroni
Zwiastun natchnienia, twój Anioł Stróż!

Chór lirników.

Już ognisko w dworku zgasło,
Ziemię czarna słoni noc;
Kur północne pieje hasło,
Teraz w pełni duchów moc.

Z chłodnych mogił wstańmy społem,
Z mgłą nad nizki spłyńmy dach;
Ukołyszmy wraz z aniołem
Piewcę w wieszczych jego snach.

W lir odwiecznych rdzawe struny
Jemu brzmijmy bracia wraz,
Niech rozsuną się całuny,
Co mu zbiegły słonią czas.

Niech się stanie tém ogniwem,
Co przeszłości cudny kwiat,
Zaklnie słowem prawdy żywem
W czarodziejski pieśni świat.

Daléj z mogił bratnie duchy,
Otrząśnijmy czasów pleśń;
Niech mu w ciszy, nocy głuchéj,
Nieśmiertelna zabrzmi pieśń!

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*